

ROMAN SZYDŁOWSKI

# KOTY i PŁOTY



Anna Chodakowska jako Antygona

Warszawa otrzymała w styczniu nie lada prezent: najładniejszą salę teatralną w podziemiach Sciany Wschodniej, w katakumbach wielkich domów towarowych. Już prawie od wejścia panuje nastrój mięciutki i relaksowy, wszystko obite materiałem o kojącej barwie. W szatni witają uprzejmi ludzie, coś w rodzaju stewardów i hostess, pomagają się rozebrać, zapraszają do wnętrza, jak uradowani z przybycia gości gospodarze. Na stelażach w tym swoistym intymnym foyer, rozstawione są malowniczo cocktaile, butelki z sokami owocowymi i Coca Cola, słodczyce, owoce. Miłe panie obsługują z uśmiechem, nikt się nie spieszy, nikt się nie pcha, prawdziwe odprężenie po wysiłkach i trudach pracowitego dnia.

Wnętrze sali także bardzo udane. Można pogratulować architektom. Scena wchodzi głęboko w widownię, której rzędy wznoszą się amfiteatralnie z trzech stron. W głębi ściana i podest pod nią. Można tam ustawić krzesła i wówczas scena stanie się areną, otoczoną z czterech stron. Można też wykorzystać ją jako drugą płaszczyznę gry, położoną wyżej od właściwej sceny w dole.

Tak, ten Teatr Mały udał się, jak rzadko. Widoczność znakomita ze wszystkich 250 miejsc. Akustyka bez zarzutu, słychać każde słowo. Fotele wygodne, trochę więcej miejscami, czasem słychać jakiś nadmierny szum, ale to tylko drobne wady wentylacji, z którą było ponoć najwięcej

kłopotów. Na pewno dadzą się z biegiem czasu usunąć.

Na pierwszy ogień poszła „Antygona”. Ta oryginalna, grecka, bez żadnych adaptacji czy przeróbek. Hanuszkiewicz wziął tylko nowy przekład Stanisława Hebanowskiego, brzmiący znakomicie. Sofokles oryginalny i autentyczny jest znacznie nam bliższy od prób uwspółcześnienia podejmowanych przez Anouilha.

Na scenie sami młodzi. Studenci i studentki ostatniego roku warszawskiej PWST. Nie noszą żadnych antycznych kostiumów. Są w dżinsach, sweterkach, są sobą. Nie grają jeszcze jak dojrzałe aktorki, ale może to lepiej. Bardzo się starają, czasem za bardzo. Trochę za wiele krzyczą, nie bardzo umieją radzić sobie z rękami, ich ruchy są czasem zbyt kanciaste, za mało w nich harmonii, płynności. Ale za to ile zapału, ile szczerzej chcieli...

Zderzenie z wytrawnym aktorstwem Adama Hanuszkiewicza jest dla nich zabójcze. Demaskuje wszystkie słabości. Ale podejmują tę walkę odważnie, nie pesza się. I to także jest ładne. Na tym tle najlepiej wypada Kreon Hanuszkiewicza. Reżyser broni bardzo przekonująco racji władcy, góruje intelektualnie nad młodzieżą, wzbudza nawet sympatię. Denerwująca staje się Antygona ze swym bezmyślnym nonkonformizmem, kiedy pcha się w objęcia śmierci. Kreon chciałby ją uratować, wcale nie pragnie jej krwi. Ale kiedy w grę wchodzi jego autorytet,

jego władza i jej prestiż — nie może ustąpić. Jednak w tym momencie już wiemy, że musi przegrać. Młodzież jest silniejsza od niego dzięki temu, że nie ulega władzy imponderabilów, zwyczajów, praw, tradycji. „Płaszcz gubernatora” nie kępuje jej ruchów i działań.

Najpiękniejsze są w tym przedstawieniu spiecia Kreona z Antygona, z Hajmonem, z Tejrezjaszem wreszcie. Tu wchodzimy w trzeci plan tego spektaklu. Mowa już była o dwóch pokoleniach. Kazimierz Opaliński (Tejrezjasz) reprezentuje trzecie pokolenie, ową szlachetną retorykę i spokojny patos tych, którzy grywali jeszcze z Osterwą i Jaraczem. Trzy pokolenia, trzy sposoby gry — to także ciekawe.

Czy Anna Chodakowska (Antygona) będzie wielką aktorką? Nie wiem. Dostała jednak w tym przedstawieniu wielką szansę. A to już bardzo dużo dla debiutantki. I wykorzystała ją dobrze. Miała kilka scen, może fragmentów, niezwykle ciekawych, by nie powiedzieć fascynujących. Reszta młodzieży była raczej ciem. Zapamiętajmy jednak nazwiska Marcina Sławińskiego (Hajmon), Andrzeja Blumenfelda (Posłaniec) i może Haliny Rowickiej (Ismena).

Plusy spektaklu są, jak widać z tego, co napisałem, poważne. Ale byłbym nieszczerzy, gdybym nie wyznał, że nie przekonał mnie on w pełni. Nie jestem purystą, lecz sądzę, że ktoś tu przedobrzył. August Grodzicki napisał, że powstało widowisko pokrewne młodzieżowemu musicalowi amerykańskiemu „Hair”. Uchwycił chyba istotę rzeczy. Tylko że jemu się to podobało, a mnie właśnie nie. Nie darłem szat, kiedy robiono musicale na kanwie Szekspira. Ta otwarta dramaturgia znosiła bardzo dobrze takie zabiegi, o czym świadczy choćby „Kiss me Kate”, czy „West Side Story”. Lecz tragedia grecką, a szczególnie „Antygona”, napisane są tak czysto, tak zwarcie, tak klarownie; że każde więcej jest tu za dużo. Nie trzeba Grekom niczego dodawać. Obronią się sami. I dlatego raziło mnie podrygiwanie Antygony w rytm jazzu (bardzo dobrze zresztą skomponowane przez Macieja Maleckiego) tuż przed jej tragiczną śmiercią; i raziło mnie finałny song, którym kończy się spektakl.

Może nie mam racji? Nie wiem. Sądzę jednak, że nie trzeba robić z „Antygony” musicalu, by zapewnić jej powodzenie.

Pierwsze koty poszły za płoty. Ale zaraz potem przyszły nowe: Irena Eichlerówna wystąpiła na scenie Teatru Małego w drugiej premierze: zagrała główną rolę w sztuce współczesnego pisarza węgierskiego Istvána Örkény'ego „Zabawa w koty”. Dla niej samej warto obejrzeć przedstawienie. Jest wspaniała. Już dawno nie widziałem jej w takiej formie. Wyzbyła się zaśpiewów, które drażniły od lat wielu miłośników jej wielkiego talentu. Jest swobodna, gra w sposób charakterystyczny, komediowy, po scenie szaleje prawdziwy żywioł, wulkan teatru. Reszta jest tu właściwie nieważna.

Sztuka, jak sztuka. Kto pamięta węgierskie komedie z lat międzywojennych, ten przypomni sobie echa owych „Matur”, „Trafik pani generałowej”, utworów Molnara, Fodora, Bus-Fekete. Bardzo to zreszcie napisane, dialog lekki i chwilami nawet dowcipny, atmosfera „gemütlích”, tak dobrze znana tym wszystkim, którzy kiedykolwiek zetknęli się z pozostałościami po naddunańskiej monarchii. Tylko że wszystko strasznie banalne i bardzo płytkie. Trochę zaprawione socjalistycznym sosem dzięki konfrontacji jałowego życia bogatej Gیزی (Karolina Lubieńska), mieszkającej w luksusie zachodnich Niemiec i małych, ale zabawnych kłopotów jej siostry, zubożałej, lecz przywiązanej do swego Budapesztu. Jest, oczywiście, w tej smutnej komedii starszawy amant, sławny kiedyś śpiewak (powinien być z operetki, ale jest z opery), którego gra z wdziękiem Andrzej Bogucki. Kocha się w nim szalenie Eichlerówna, a ten niecnota zdradza ją z przyjaciółką (wytworna jak zawsze Małgorzata Lorentowicz). Jest skromna Myszką (bardzo zabawna Janina Nowicka), pełna szacunku dla owego świata bogatych mieszczan, który oglądała dawniej tylko od dołu. Dopiero rewolucja pozwoliła jej zbliżyć się do Erzi, która choć pozbawiona znacznej części owego splendoru, którym imponuje wciąż jeszcze Giza, wzbudza jednak zawsze w biednej Myszce coś w rodzaju leku, połączonego z ciągłym uwielbieniem. Młode pokolenie

Węgrów, niestety najbiedsze, najmniej zindywidualizowane, grają Grażyna Staniszevska i Jan Machulski, który wyreżyserował taktownie ten spektakl. Godność pokolenia eietek obnosi dystygowanie Teofila Koronkiewicza, bardzo śmieszna w roli Adelajdy.

Więc jak jest z tym przedstawieniem? Dobre, czy złe? Znowu muszę być szczerzy. Bawiłem się znakomicie. Śmiałem się głośno i serdecznie. Oklaskiwałem panią Irenę długo i rzęsiście, jak cała sala. A potem? Pomyslałem, że można by pewno znaleźć dla tej wielkiej aktorki sztukę głębszą, poważniejszą. Trochę szkoda, że tak to wszystko później spływa, że poza naskórkowym wrażeniem mile spędzonego wieczoru tak niewiele pozostaje. Ale czy nie wymagamy od Teatru Małego zbyt wiele. Przecież ta nazwa ma w Warszawie także swoje tradycje wesołej, zabawnej, lekkiej Muzy...

Pierwsze koty zostały puszczone, płoty nie zostały przekroczone. A co dalej? Jeszcze się nie spieszymy, jeszcze poczekajmy...

ROMAN SZYDŁOWSKI



Irena Eichlerówna i Andrzej Bogucki w „Zabawie w koty”